

OKOLICA POETÓW

MIESIĘCZNIK

R. II. — NR. 1(10)

15 STYCZNIA 1936.



KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA: ŚMIERĆ
TADEUSZ JULJUSZ DEMCZYK: LIRYKA ISTOTNYCH DOZNAŃ
STANISŁAW PIĘTAK: EPILOG
LUDWIK SWIEŻAWSKI: WIERZBA PŁACZĄCA
ANDRZEJ GORYCZ: GROTESKA O KALINIE
LEON MACHTINGER: POEMAT O MOJEJ ŚMIERCI
WŁODZIMIERZ PIETRZAK: PRAWO DRAPIEŻNE
STANISŁAW TELEGA: JESIEŃ
STEFAN NAPIERSKI: OŚ
MIECZYŚŁAW ŻYTKO: NOC NA WSI
STANISŁAW BĄKOWSKI: POLANA
STEFAN SZAJDAK: WIECZORNE RĄBANIE
JAN TWARDOWSKI: SEN
Z. GRAŻYNA TERLIKOWSKA: ZABIĆ WOJNĘ
JAN KOPROWSKI: BIELNIK
PAWEŁ HERTZ: OSTROŁUKI
ARTUR RZECZYCA: SKRZYDŁA POŁUDNIA
STANISŁAW CZERNIK: DZIEŃ PRZED ŻNIWAMI
JAN KOTT: O ORGANIZACJĘ
RECENZJE
NOTY



REDAKCJA: OSTRZESZÓW (WLKP.), UL. POPRZECZNA 2.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

Ś M I E R Ć

POEZJA MNIE STOCZYŁA, JAK WNĘTRZE OWOCU,
KTÓRE CZERW WIELOKROTNIE PRZEŻARŁ I WYDRAŻYŁ:
TUCZONE MOJĄ KRWIĄ, SKRZYDLONE MOJĄ MOCĄ,
WIERSZE PEŁZAJĄ I KRAŻĄ,
JAK KRUKI KRACZĄ I JAK OSY TNA,
I — OBCE, GROŻNE... ŚMIESZNE — JEDNAK SĄ NIEODWOŁALNIE MNĄ.

BYŁAM ŚWIATEM. LECZ ŚWIAT TEN, ZJEDZONY MNÓSTWEM TUNELI,
STRACIŁ SWĄ JEDNOŚĆ I NA CZĘŚCI DROBNE SIĘ PODZIELIŁ,
NA UŁAMECZKI, ODCINKI, SEKTORY...
I RYSUJE SIĘ POWIERZCHNIA ŚWIATA, BO ŚWIAT JEST CHORY,
CHORY OD ZBYTNIEGO MNÓSTWA,
OD WIELOŚCI NIE DO ZNIESIENIA.
I OTO STANIE SIĘ PUSTY
— JAK W PISMIE STAŁO —
JAK PUSTY CHAOS
PRZED DNIEM STWORZENIA.

O NIECH NA SPUSTOSZENIU JAŁOWEM,
ZAMIAST ŚMIERCI I POGRZEBU,
ZWYCIĘSKI KRZEW PURPUROWY
STRZELI KU NIEBU
I ZRODZI RÓŻE, ŻYWE I SMIAŁE JAK LWIĘTA !

I NIECHAJ O MNIE ŻADNA Z TYCH RÓŻ NIE PAMIĘTA.

LIRYKA ISTOTNYCH DOZNAŃ

Przyzwyczajono się omawiać poezję ze stanowiska zgóry zajętego, niejako z założenia i upodobania krytyka.

W konsekwencji więc cudzy indywidualizm, jako odmienny i obcy, poddawany jest rzetelnej wiwisekcji. Nowa poezja, czy to będzie poezja A w a n g a r d y, czy inna, jest ostatecznie rezultatem indywidualnych przeżyć w środowisku danego autora.

Różnice co do lirycznego ujęcia przeżyć i poetycko sformułowanych doznań są, będą i muszą być różne. Zwolennicy kierunków z indywidualnością jednostki muszą się pogodzić. Każde odmienne ujęcie lirycznego wyrazu odczucia będzie słuszne, jeśli wynika z prawdziwego i szczerego impulsu.

Odczuwania przeżyć nie można uczyć, ani narzucać. Natomiast wszelkie wypowiedzenia muszą być wyrażane, jako rezultat twórczych procesów podulet, a nie produkcji samej dla siebie. Poezja nie zna recept. Jest ona w e w n ę t r z n ą, r o z b u d z o n ą, w y b u c h o w ą p o t r z e b ą.

Spójrzmy na biegunową rozpiętość liryki od treści Skamandrytów, do formy Awangardy. U Skamandrytów treść jest rdzeniem i nikt nie zaprzeczy jej bezwzględnej siły ekspresji, obok uczuciowej prostoty w znaczeniu najsubtelniejszego rezultatu doznań poetyckich. Tu w im: „Nieznanne drzewo”. Lechoń: „Piłsudski”.

Nawet u poetów proletariackich treść jest krwią liryki, która niekoniecznie idzie po linii ideowej. Broniewski: „Poezja”, „Kabała”.

U Awangardzistów zupełnie odmienne podejście do liryki od strony kształtu. Stąd zdecydowany kult formy i konstruktywizm. Przyboś: „Dachy”, „Cieśle”. Czuchnowski: „Tak”. Pierwsi - to muzycy, drudzy — architekci poezji. Konstruktywizm działa na wyobraźnię, treść w wyniku daje pobudki uczuciowe.

Znaleźć pośrednią drogę trudno, czego dowodem liczne wysiłki poetów najmłodszych w kierunku odnalezienia własnego wyrazistego ujścia pędu słowa.

Niestety niektórzy dochodzą do nadużycia formy, do przesadnego, umyślnego zaciemniania treści na rzecz rzekomego podniesienia wartości utworu, wreszcie nadużywając metafor, stają się zwykłymi zonglerami słów. Sens ginie wówczas w beztreściwym chaosie, ten bowiem służy w istocie do maskowania braków w poetyckim nieopanowaniu słowa, a czasem nawet przeradza się w jakiś analfabetyzm poetycki.

Gdy się odrzuca jedne pierwiastki wiersza, trzeba wzamian dać nowe wartości, w przeciwnym razie powstanie bezkształtna miazga.

Brak bezpośredniości w wypowiedzianiu odczuwanych doznań, pomniejsza w tych wypadkach wartość wiersza poza wymienionemi nadużyciami formy. Powstają więc pisane na tę czy inną modłę wiersze gatunkowe, niejako standaryzowane, tworzące coś w rodzaju kartelu wierszy o sztywnej cenie słowa. Są to na szczęście wyjątki nieliczne. Większość poetów rozumie, że wartość liryki leży w dynamizmie płynącym z własnej osobowości, w uczuciowych ekspresjach, że intelektualizm winien być tak silny, aby rozrywać się nieszczerych i małowartościowych efektów.

Chcę zaznaczyć, że w czystej poezji A w a n g a r d y konstruktywizm jest siłą tak bezwzględną i budującą, tak ujmującą swym kształtem, że wiersz chwytny jest zmysłami i usunięcia pierwiastków refleksyjno-egocentrycznych nie odczuwa się jako braku.

Jeśli chodzi o treść, jako realne odbicie życia, poeci w większości świadomi są tej prawdy. Starają się podpatrywać samych siebie. Dzisiejsza poezja oscyluje między treścią i formą, nie odrzucając głównych czynników treści, dobiera z formy kształty najodpowiedniejsze i najważniejsze, i wydobywa z odczuć zewnętrznych subtelne wibracje wrażeń zmysłowych. Dość wskazać u Świeżawskiego odczuwanie doznań w „Smlechu w zieleni” i w „Wozach jadących”.

Pierwiastki rodzime w każdej psychice twórczej dopominające się swego wyrazu, u poety o wysubtelnionem poczuciu miłości ziemi, po której stąpa, stają się podświadomą ideologią. Czernik; „O polskim płocie”, Świeżawski: „Krajobraz”, „Przeciąg”.

Niewątpliwie, każdy poeta dąży do liryki, którą określiłbym mianem „liryki na prawdę”. Liryk osiąga spłot wyjawień, zarówno przez ekspresję treści, czy przez przefiltrowanie wrażeń, czy wreszcie w formie strzelistego konstruktywizmu. Nie można natomiast stwierdzać co lepsze, a co gorsze. Obydwie drogi są dobrymi drogami liryki — i tu właśnie tkwi niebezpieczeństwo czyhające na krytyka.

Podchodzenie bowiem do poety z przygotowanym zgóry schematem wywołuje w konsekwencji zamiast rzeczowej oceny, nieporozumienie. Krytyk winien wykształcić w sobie intuicyjną wnikliwość potrzebną do pogłębienia cudzego indywidualizmu, a chcąc być rzetelnym krytykiem winien sam być poetą.

Nie będę wskazywał, że w liryce wypracowanie kierunku musi mieć indywidualne i samorodne źródło. Każdy prawdziwy, wielki talent będący w istocie zespołem elementów dynamicznej ekspansji słowa, obok bezpośrednio jasnego uzewnętrzniania przeżyć, tworzy pęd kierunkowy, rozrastający się później w bujne drzewo pokrewnych osobowości. Hamowanie indywidualizmu spowodowałoby kartelizację poezji. Tymczasem napewno w dzisiejszej najmłodszej poezji polskiej kiełkuje niejeden talent, który w przyszłości wypracuje własny wyraz lirycznych uchwytów życia i — to jest właśnie droga liryki na prawdę istotnych doznań.

TADEUSZ JULIUSZ DEMCZYK

OD REDAKCJI: Artykuł Demczyka zasadniczo zbiega się z tezami autentyzmu poetyckiego, przedstawionymi w tomie pierwszym „Okolicy Poetów”. Jest jeszcze jednym wyrazem zdrowego odczucia istoty poezji przez narastające pokolenie poetów, krórczy wbrew namowom i awantom kapliczkowych krytyków, w odnowionych zasadach autentyzmu widzą mocny kościć ideologiczny.

Pewne zastrzeżenia może wzbudzać artykuł Demczyka w związku z biegunowem przeciwstawieniem treści i formy. Zagadnieniom tym poświęcimy w przyszłości kilka artykułów.

STANISŁAW PIĘTAK

EPILOG

ACH, DRŻĄC UNIOŚLEM GŁOWĘ I OTO...

Z włosem w pośpiechu strąconym na barki, z twarzą rozdartą przez łunę
biegłeś na strzały wroga wydając bez strachu swą zbójczą dumę.
Czarnogranatowe niebo chylił się jak skała, w dole ryże szuwały, kałuże.
Tnie gruby ukośny deszcz, w każdej eksplozji światła drzewa wychodzą
szarordzawe, duże
i profil twego zuchwałego ciała rysuje się przed niemi na mgnienie
jak białej rzeźby skamieniałość, jak ruch taneczny zastygły w natchnieniu.
Minuta — dwie — dwa strzały — i tylko płowy kosmyk twych włosów
rozbłysnął na wletrze.
Krew i miedź, miedź i krew wybuchły w gromie, skoczyłeś w dół —
wchłonęła cię jak świecę czarna hucząca przestrzeń.

Odwrociłem się i w przerażeniu kuląc twarz ujrzałem — na polu przy Olszynie
włókł się twój Kary dwu żandarmom naprzeciw w deszczu sinej gęstwinie.
Nim zdołałem krzyknąć, wieś szybami uniosła się w górę — i gdy chmury
znow rozdart zły błysk,
jeden z żandarmów przyłożył karabin do ramienia, strzelił.
Zamiast gwiazdki na czole warkoczyk krwi, krew w ślepiach,
w krwawej ślinie pysk.
Skoczył przedniemi łapami w powietrze Kary — czarny staniający się płomień.
Jeszcze kilka kroków — i padł na ziemię rżącym, przeraźliwym rzeniem.

LUDWIK SWIEŻAWSKI

*

Wierzba płacząca polna
na polu wybucham płaczem
czy jeszcze rosnać na ziemi
niebo na ziemi zobaczę

Nie płaczę rzewnemi łzami
nie płynię strumień łez wąski
szumi wierzba na wietrze
liście, gałęzie, gałązki

A gdyby pastuch przechodząc
wyłamał gałąź surową
czy zagrałby, nie wiedząc co zagra,
piosenkę wierzbową?

ANDRZEJ GORYCZ

GROTESKA O KALINIE

To była jednak Kalina, choć niepodobna do kalin.
Inna.
To nie Kałena, choć barwą swą ukraińska,
Ani kalina roślinna, wonią pokrewna dziewannom,
A jednak także słowiańska, i po słowiańsku dziecinnna.

Kalina była krową.

Kalina rosła w dolinie, w wiklinach i pośród malin,
Lecz była zła, była zła, — djabeł, czart.
Ceglasta w wierzbach, jakby wzór koralu.
Ale z koralu wyrывał się postrach
W jej rogł śmigłe niby rzymskie rostra.

A chociaż imię jej piękne Kalina,
Choć w wiklinach podobna do malin,
Choć słowiaństwem pokrewna dziewannom,
Choć miała linę i wdźwięk dany pannom,
Została jednak zła, czartowską krową.

LEON MACHTINGER

POEMAT O MOJEJ ŚMIERCI

(FRAGMENT)

Drzewo na środku podwórza nagle przez noc się rozrosło.
Wszereż i wzdłuż i od wewnątrz: każda gałąź długa jak wiosto.
Na wierzch wylazły bure żylaki i pną się do góry
tam gdzie wiotkie dymy kuchenne i barczyste, włochate chmury
łączą się w drżącym uścisku, kłębią się, gniotą, przewalają po sobie,
aż niebo wygina się do nas wypukło i coś tam rzeźbi i chrzęści i skrobie.
— Będzie burza. Będzie burza. Czy pani słyszy? Okna niemo na murach

Ludzie maleńcy, drewniane figurki — patrzą w górę. I nagle czerwone
hakowate błyskawice. I piorun zawarczał w oddali. Zawisły.
Tam wysoko, we wieży niebieskiej z sali do sali
piorun opada. Po kamiennych schodach, coraz niżej i niżej i niżej
z piętra na piętro dudni i bębny potrąca co warczą to grubo, to wyżej
to cienie — — Cisza. W dole pod bruklem podwórza
czołgają się czarne piwnice. W suterynie żarówka zakwitła jak róża.
Ciemno. Na wszystkich piętrach krzyknęły światła różowe.
Patrzę przez okno. Drzewo. Podwórce. Okna. Trzasnąłem pięścią w głowę —
Hurrra! Skaczę zwysoka na bruk aż oddech do gardła wciśnięty —
głową wdół, ręce jak skrzydła, kamienicy pokazują pięty.

Trzask! Trach! Trach! To piorun w górze. To moja głowa.
Drzewo nademną. Ciemność błyska oczami jak sowa.
I wicher, wiatr, wichura krzyczy i krzyczy i śpiewa
i murami potrząsa. Ruszyło murami od lewa —
powoli — powoli — obrót — szybciej — kręci się kamienica
w miejscu. I drzewo. Mieszkania. Kuchnie. Cała ulica.
Wicher, wicher, wichura, krzyczy, krzyczy i śpiewa. Ile wesela!
Wszystko się kręci i wyje. Czarno. Różowo. Hurra! Karruzela! — — —
I tak przez przestrzeń ciemną
płyną ze śpiewem na ustach
ludzie maleńcy, drewniane figurki,
co idą szeregiem od gwiazdy do gwiazdy,
gdy ktoś tam w górze pociąga za sznurki.
A niebo jak zegar wydzwania godziny,
i kukły drewniane śpiewają jak myszy,
i nikt nie słyszy tego śpiewu,
tylko ja i chore drzewo.

WŁCZYMIERZ PIETRZAK

PRAWO DRAPIEŻNE

Gestem, wyzwolonym ze strofy,
pod stopy ci rzucę drogę w glebie oporu
i trud tego życia — jak zapach — podam.
Porywczy wiatr grzywy pustynne będzie orać
sykiem łaknienia, żywiołem muzyki —
cień krzewów wypukłych nie rzuci chłodu,
gdy, głodny, ciszy poszukasz i czerni.
Zasłoń myśl — żeby nie być z nikim.

W smudze błyskawic deszczu ostre ciernie
z niebios otwartych i smutnych polecą —
wtedy nad czołem echem zbudzonem ojczyzny
liście dębów uderzą i brzękną jak tarcze.
Oddany siłom głębin, niczyjej opiece,
uderz, o moeny! Niech rąk ci wystarczy!

W nocie dymów i o dniu wolnym
z wiórów płomienia rodzi się prawo przewagi.
Wiosną
szumłą pszczołami ścieżki polne
i kwiaty natrętną pachną strofą —
kiedy już przebiegł pęd i huragan

STANISŁAW TELEGA

J E S I E Ń

Zagrzebie przestrzeń kroki i oczy zagrzebie —
najbardziej wierne ścieżki zapomną i zachód je zciemni,
nie w erz —

i tam tak samo jak nad Wisłą
przerąza kwilenie ptaków i noc wschodząca burzą cieni

wybucho snami i ciężko jest pod gwiazd złotogłowiem
kiedy się na to, co nie przyjdzie czeka —

dziś
tylko w cieniu śpiewać mogę ciebie

gdy muska oczy niespokojny deszcz liści, tyle światów odchodzi
w żałobie —

tak umierać może tylko jesień

zamknięty we wspomnieniu, pachnące okiście rąk twych czczę,
miłości poganin,
zbudzoną w pierwszej wiośnie, w ciała pachnącym wschodzie —

cóż powiem ci dziś, gdy przyjdiesz w gorzkim przepychu smutku schylona?
świat można unieść w dłoni, lecz trzeba wierzyć w człowieka —
także w ciebie — i w twoje zdziwione brwi

w tkliwym kobiecym wstydzie
nim zdejmiesz ciepły ust pierścieni —
posłuchaj jak coraz niespokojniej idzie,
nie w nocy mglistej od żalu ani w brzóz zgaszonych żałomach,
ciemna, podarta wiatrem, dusząca w krtani:
jesień —
która jest we mnie.

STEFAN NAPIERSKI

O Ś

Północ pod gwiazdami
Jak napięta struna,
Błachy dachów plami
Zielonkawa luna.

Patrz! przymknięte oczy,
Łzy jak grube grady,
Znow dno kręgiem toczy
Okropne plejady.

Blask: cyrklem promienia
Zakreślone koło,
Ku pustce ramienia
Przechylone czoło.

Srebrne pióro ptaka,
Oś Wielkiego Woza —
Tam miłość jednaka,
Achl ta sama groza.

NOC NA WSI

Wiatr grał canzonę żalną na strunach liściastych kasztanu
i włosy topoli rozwiłczył po słomianej strzesze,
jak sztandar czerwony, utkany z świeżych tulipanów.

Noc płonnymi skrzydłami przestraczu w dostojnejplelesze
zlewnym tabunem mgieł opadła — w staw księży.
W nocy gwiazd, jak w morzu kropel, na niebie jest pełno.
Samotność. Lubię ten okręt zbłąkany w przestworzu
z okna dotykać przez szpary wiotkich łóz.

Cóż...

Milczy północ
tysiącem zapalonych lamp w zakopconych izbach.
Z mroku jak z grobu wychylał się księżyc —
gwiazda przewodnia na morzu —
i z fałdów chmur zwiślał jak blada niepewność.
Nad okiem szczęścia śród cichych okolic
łuk wielki leniwie zatoczył w przestrzeni,
chciał noc śmiertelnym blaskiem zwyciężyć.

Zapach ziemi:

tu,
we wsi, ojczyźnie smutnych brzóz,
szumem ościłego jęczmienia pod żyta chwiejną ścianą
przypomniął lekki chód czyichś nóg,
jakby echo ćwierkających koników szło rano
przez szklaną białość rzeki wbród.

Jak pojąć pulchną czarność ziemi zoranej
staczającym się kołem w pasmo lat
które noc jak komliny chałup dźwiga wprost ku niebu,
i
jak w zgarbionych kłosach wyplakany chleb,
dojrzewający w polu ciepłym dniem,
odpływa w nicość świat.
Pomóżcie dźwignąć owoc skarłały z jałowych gleb:
jęczmień, pszenicę, żyto.

To
lęk brzóz liśćmi szeleścił, jak cichem wspomnieniem
w zorzy wieszczącej rano.

P O L A N A

Oto — cóż mi słoneczny ukrop!
 Cóż — ścieżka najstomsza,
 zdrada ukryta w glinie,
 urazy — w kamiennych gąszczach!
 Mchów zielone futro,
 świerk, buk i modrzew,
 borówki i paprocie
 wiedziały o tem dobrze...
 Że się kąpałem w pocie,
 wiatr wysoki mnie osusza;
 żem nie dał za wygraną,
 z duszy odwiecznej gór
 szczęśliwości posiew
 mam w oczach i w uszach.
 Tam dalej na wierchów granatach
 cień obłoków Boże myśli pisze;
 tu traw zielone złoto
 piersiami huśta czujną ciszę.
 I wszędzie już widzę serce moje,
 odkąd przestało bić z niepokojem.

Na szczyt, co czeka za starym bukowym lasem!
 Niech duch dokończy jasnego przedziania!
 Ze wszystkich ziemskich wędrowań
 najmilsze jest, które po wyżynach ugania:
 lotny niebieski spacer! —

STEFAN SZAJDAK

WIECZORNE RĄBANIE

(Z CYKLU: WOŁYŃ)

Bór.
 Biały dom.
 Tor. Pole.

W przychaciu dwóch:
 ojciec i syn,
 jak linje bliskich szyn.
 Ojciec rąbał drzewo,
 syn
 — drewnianą pochodnią powiewał.

Ojciec i wieczór,
 syn i pochodnia:
 tłumaczy i upodabnia.

JAN TWARDOWSKI

SEN

Na poduszki składające się z nocy, cieni twarzy, zapachu łez —
rzucasz dłonie prześwietlone przez księżyc, — już spadają wolno jak w bez...
Innych rysów chwytają się teraz pod podszewką poduszki — we snach —
dotykają palcami drżącymi nocy, cieni, zapachu — dna —

W kręgu lampy naftowej mówiono: Nikt z nas nie wie, o co mu szło —
na ceracie twarze zgubione — cisza zdań rozpoczętych od no...
cienie chat, cienie krzyżów przydrożnych rozłamały się nagle w szkło —
to wśród nocy okiennice lipowe za szybami zbudziły się wsią.

Drzwi otwarto. Niema nikogo.
Drzwi otwarto przed wiatrem na ganku.
Widzisz, sama przyśniłaś się sobie —
sama sobie przyśniłaś się —
Hanko!

Z. GRAŻYNA TERLIKOWSKA

ZABIĆ WOJNĘ

Wiem —
pragniesz słowa w bagnety uprościć.

Poeta.

Spokojnie
podpał cios, wleńczący lunę karabinu.

Zabijaj —
przywarty każdym włóknem do życia.

— — — — —
Nie poto strzał
zamknął perspektywy wiatrom,
by
znów
winne grona dźwięczały księżycem.

Dzisiaj znów
tłum
w pianie reflektorów krzychał:
— zabić wojnę!

— — — — —
Spokojnie
światło — elektryczny ornament — z oczu przelewasz w gwiazdy.
Z dłoni wynurzasz śmierć:
— bagnet.

B I E L N I K

Czy widziałeś migoczące na Bielniku płótno?...

Spojrzyj:

jaki tam kwadrat ustawiony
w lesie na nichu,
jaki łańcuch cieni.

Tu — latem

! tu: na jesieni.

Dawniej wybielone słońcem nitki,
trafiały do zabitych szkodkami
drzwi:

w zamknięte przedziwa.

Turkotu dźwięk

gryźł rozwilgniłone mury.

Praca, jak Bielnik, szczęśliwa

i ty —

zgubiony na uroczyskach.

PAWEŁ HERTZ

O S T R O Ł U K I

pod arkadami gdzie posągi drzemią
snem wleńcząc wlecznym czoła marmurowe
stałem

słuchając nad przednocną tonią
jak flet daleki grał

a ty wśród miasta złego zagubiony
pomiędzy domy wysokie i reklam
blask neonowy — dnia zbierałeś plony
płatki przywędłej róży Marechal du Niel
kolorem włosów twoich

zielenią urzekłem

flet który grał

zwolna wynurzasz się toplelec z fali
zieloną grzywą rzeka nas uniosła
nie to nie czółno

ah nie szukaj wiosła

te czarne drzewa

pnie które spalił

południa żar

patrz w czarnym szumie twoich skrzydeł szelest
i ty przepływasz w czerwonej łunie

I wiatr daleki ten wiatr który nie jest
już niczem innym jak echem co sunie
przez gęsty las

lecz wreszcie może opadniesz zmęczony
w mchu miękką pościel i w lasu igliwie
czy znasz czy znasz te zapomniane strony
rzesz zwarzysz miękkie puszyste igliwie
wlotkie jak czas

zanim arkady w świerki się przemienią
i ostrołuki strzeliste w kopyły
zapomnij ah zapomnij piękny cieniu

topielcom oczy zaszyły rzeczonym mułem
jak snem powieki

ARTUR RZECZYCA

SKRZYDŁA POŁUDNIA

cyganie grają na ulicy

ciemna twarz mosiądz pawie pióro
cieniem obrosłe skrzypce
kolorowe lutnie

od strun złotem niesie
w grubą powietrza skórę

złotem złotem

górami
twarz cygana wesoła

dokoła

zwarły las ludzi

urósł

burzy złotej brunatnej pełny po wierzchołki

bokiem

strugi win niesłychanych żywica dzika ukosem
na strugach zastygłych okręty
w słońca trzeszczącym skwarze

złotem złotem

w drgającej złotej kuli ulica
na skrzydłach luteń się waży
frunie

znad mocnej zlewni koszuli

znad mocnego grzbietu pochylonego nad lutnią

STANISŁAW CZERNIK

DZIEŃ PRZED ŻNIWAMI
SIELANKA W TRZECH AKTACH

Akt pierwszy

(Czas przedwieczorny, w lipcu. Parterowy dom proboszczowski z ganeczkami na pierwszym planie. Nieco w głębi drewniany kościółek. Przed gankiem — leżaki, stół do szachów. Kiepski żywoptot odziera plebanję od drogi wiejskiej).

Scena 1.

ARCHEOLOG I NAUCZYCIEL
grają w szachy.

ARCHEOLOG

Niezrozumiałe są dla mnie
zjawiska sielsko - anielskie:
raz — realizmu najzwyklejszy zwitek,
raz — dziwne skręty i smęty,
romantyczne, fantastyczne, marzycielskie.
Raz — rzecz karczemna, rzecz pospolita,
naraż w tej rzeczy jakiś pozór święty.
Wiążesz ten pozór, a snop się wywlecze
gruby, jak średniowiecze.
Jakże te rzeczy oceniać ?

NAUCZYCIEL

Trzeba je pewnie chwycić u korzenia,
jak sprawę prostą i zwykłą.
Lecz wątpię, czy ją może rozwikłać
Nie-entuzjasta.

ARCHEOLOG

My entuzjaści! jedziemy do wiosek
Każdego lata i z każdego miasta.
Maj, czerwiec, lipiec: letniska.
Entuzjazm działa, jak zastrzyk:
natura,
myśl protoplasty,
mocna jak zapach sosen,
czerwona jak burak,
jak ryba w stawie śliska.
Entuzjazm: wtedy się zdaje,
że pięknie pasać krówki na ugorze,
z konikiem w pole wychodzić o świcie,
z dziewczuchą gzić się po owsie lub życie;
że chłop nietylko w sukmany,
ale i w prostą mądrość ubrany,
jak prastowiański bożek.
Entuzjazm. Zwykle jak w krainie bajek.
Lecz szybko morał z tej bajkowej manji
wynika:
stwierdzamy, że poetyczni żeńcy
to poprostu —
ludzie do bydła i ostu.
My — entuzjaści, oni barbarzyńcy.
Tak się dwie fale przeciwne spotyka.

NAUCZYCIEL

Może za ostro.
Tak. Prości, biedni, niemrawi.
Na obcych patrzą z pod oka,
i słyszą ich nieco z głucha.
Taki małeńki zamulony stawik,
który nie będzie na pokaz.
Lecz oni mają swojego ducha,
Serce, myśl.

ARCHEOLOG

Myśl, serce, ducha!
Odpusty, pielgrzymki, dożynki.
Miłość —
wprost, sercem całym
do morgi, bydelka i świnki.
No, i otoczeni błękitem,
okrągłym nieba zwalem,
jak tajemnicą.
Ach, te ich pola posrebrzane żytem,
pożłacane pszenicą
I t. d.
Bardzo pięknie w poezji i latem.
Lecz cóż pozatem ?

NAUCZYCIEL

Zjawiska sielsko - anielskie
(określę tak, chociaż z żalem,
że inaczej określić nie mogę)
podobne są do wołów
ciężkiem, niezgrabnym cielskiem.
Lecz przy tem jakby skrzydło ptaka.
Dlatego także mają coś z aniołów.

ARCHEOLOG

Różnica niebylejaka.
Zjawisko wcale niesrogie.
To coś z urojeń poety.
Więc według pana
mamy woła - anioła,
byka - ptaka.

NAUCZYCIEL

Na szczęście — i niestety.

ARCHEOLOG

Czemu na szczęście ?
I czemu niestety ?
Czy sprawa tak zawikłana ?

NAUCZYCIEL

Mogliaby istnieć rzecz bardziej niezwykła

ARCHEOLOG

Naprzykład ?

NAUCZYCIEL

Naprzykład — skrzydlaty tygrys,
lub kombinacja szakala i wydry.

Scena 2.

PROBOSZCZ

Jakże sielanka, panie profesorze ?

ARCHEOLOG

A owszem, owszem, owszem.

Miłe są wasze Kujawy

równie jak nasze Mazowsze.

Dzień się spędziło w humorze,

i serce zdrowsze.

Latoś się tutaj aż łyska w piękności.

PROBOSZCZ

Jak słyszę, to już pan łaskawy

bawi się gwarą.

Prasłowiańskie mowy zawiłości,

chłopskie baj - baj.

Wesołe oczy, opalone lice.

Niechże na zdrowie idą okolice

naszego kraju.

ARCHEOLOG

A widzę tutaj ciekawe zakątki,

w sąsiednim lasku,

i tam nad jezłorem.

PROBOSZCZ

Tu chłop gdy orze — zawsze coś wyorze,

to urnę wygrzebie z piasku,

to choćby skorupę starą.

ARCHEOLOG

Mam podejrzany pagórek w tym borze.

NAUCZYCIEL

Tu przecież były narodu początki.

Do Gopła tylko dwie mile.

Tutaj historia poetycka plotta

z lilij i malin pokrwawione wątki.

Może w tym lasku nad czarnem jeziorem

stało osiedle wgłębięne w badyle,

gdzie Kirkorowi podano dzban malin...

PROBOSZCZ

Nie wiem, czy ganić, czy chwalić

takie wywczasy —

urlop złączony z naukowym celem.

ARCHEOLOG

To nasz przywilej zawodowy.

Archeolog, kiedy idzie w lasy,

w ugory, w pola, w zielska,

mało, że zwykłej radości ma wiele,

że odpoczywa z sielską,

on zawsze zostaje kopaczem, —

to wśród niewinnych wzgórzy

pręciłem grzebie,

to jak figlarny psotnik

podgląda pod krzaczek róży,

to jak wywrotnik

kręci i wierci wiadomo za czem,

to w rozoranej glebie

skorupki zbiera, wyciera,

a chłop oko mruży,

jak na warjata spojiera.

PROBOSZCZ

I to jest szczęście w naukowym niebie.

ARCHEOLOG

A jakże gospodarstwo,

kaczuszeki dobrodzieja ?

PROBOSZCZ

Tu spokojna ziemia.

Ale i tu się kręci, kręci.

Chodzą, chodzą, chodzą.

Bóg wie, co za ludzie.

Bezrobotni, bandyci, studenci,

chłopom gadają o cudzie,

wieś ciągle słucha urwisów.

Dziś czas lampartów, tygrysów,

wilków i hijen.

Ach mówić szkoda,

takie jest księżę gospodarstwo —

cierniowy wieniec.

(p o c h w i l i):

Lepiej się wody napiję.

(p o u c z a j ą c o):

Na każde strapienie —

najlepsze lekarstwo —

woda, woda

z malinowym sokiem.

Scena 3.

JASIEK

Aleśmy biegli. co ino tchu !

PANIENKA

Takżeśmy biegli, tak prędko biegli,

aż mi serduszko, jak organki gra.

PROBOSZCZ

Czy się co stało ?

JASIEK

Tam koło jedli..

PANIENKA

Cicho — ani mru-mru.

JASIEK (w y r y w a s i ę)

Tam koło jedli

wydobyliśmy bałwana.

ARCHEOLOG

Jakiego bałwana ?

JASIEK

Taką figurę, proszę pana.

PANIENKA

To ciągle swoje kra-kra,
a miałeś — ani mru-mru.
Zaraz opowiem.

Znaleźliśmy rzeźbę białą.
Proszę posłuchać, panowie.
Poszliśmy nad jezioro
po nenufary.

Z nenufarów powstały czary —
dziwności sporo.

Na czarnym stawie
dźwięknęło wiosło
ciekawie — srebrnawie:
jak w metal, skarb, talary.
Bociany czasem tak wiosną
klekocą na znak szarugi.

PROBOSZCZ

I co?

PANIENKA

I właśnie chłopci ciągnęli od siana.

Wzięli się mocno.

Szarpią — jeden, drugi,
targnęli ostro..

PROBOSZCZ

I co?

JASIEK

Wyrwali z mułu bałwana.

ARCHEOLOG

Cóż to za rzeźba?

PANIENKA

Posąg cudnej urody,
wyjęty z wody
po wielu wiekach na nowo.
Bo myślę — skupiona i trzeźwa —
że to rzybytek pogański.

NAUCZYCIEL

Twierdzą za baśnią ludową,
że tam — na Czarnem Podolu
stał dawniej wielki dwór pański.

ARCHEOLOG

Pozwól pani, że pytam,
gdzie ten niezwykły połóg,
ta rzeźba cudem odkryta?

PANIENKA

Kazałam chłopom tutaj nieść figurę.
Słyszałam, że jest na plebanji
jakiś profesor - archeolog.
To pan zapewne.

ARCHEOLOG

Dziękuję pani
za piękny odkryć w tym okręgu prolog.
Pani jest czarodziejką
w błękitnym kapelusiku —
Zwłaszcza gdy ocęta bure

tak zabawnie, tak rzewnie,
figlarnie i miękko
strzygą takie zgrabne „fiku - miku“
do starego profesora,
jak do dziecka.

PANIENKA

Być czarodziejką — rzecz zdradziecka:
można się dostać w czarcia moc,
i nic jej nie rozwikła.
Ja jestem tylko czarownica zwykła,
zaprzędana złemu duchowi,
jeżeli takie tysiącletnie
rybki na arkan łowią.

ARCHEOLOG

Być może pani spisała się setnie.

PANIENKA

Może naprawdę złowiłam szczupaka —
Szczęśliwe moje wiosło!

ARCHEOLOG

A może zwykły kłoc,
a potem — raka.

PANIENKA

Oto go niosą.

Scena 4.

WOJCIECH

Przynieśliśm, jak nam panienka kazała,
tego bałwanka.

PROBOSZCZ

Tutaj postawcie — przy oknie.

CHŁOPI ustawiają rzeźbę

WOJCIECH

Komu to w głowie postanie,
że taki cudak w mule moknie.
W stawie bestyja spała,
jak chłop w sianie —
nie wiadomo od którego ranka:

CHŁOP I

Widać, że mu tam nie bywała bida,
bo ano spaśnie wygląda.

CHŁOP II

Jak dynia okrągły pysk —
ino poklepać.

CHŁOP III

Jakby adwokat od naszego sądu —
oczy rozdziawia, niby żyd do żyda,
gdy czuje zysk.

CHŁOP I

Ślipska wielgachne, jak sowa.
Podobniuteńkie ma szynkarz z Wielepa.

CHŁOP II

Ale ci to głowa, o głowa!
takiej, jak żyw nie widziałem.

WOJCIECH

Pewnikiem będzie to pogański święty,
co rzucił niby klejś stworzeniem całym,
a potem był przez Boga przeklęty, —
co, panie nauczyciel?

NAUCZYCIEL

Być może, to jest bóg pogański.

CHŁOP I

Prawda, — widzicie:
kark u niego pański.

CHŁOP II

A strojny, jakby był komedyjantem.

ARCHEOLOG

Ten bóg, którego tutaj mamy postać,
na twarzy szczery, mądry, — jasnolicy, —
był dawnych bogów — jak wam tu objaśnić?
no, — dawnych bogów komendantem.

WOJCIECH

To taki, jakby przodownik w policji:
to nie jest osoba prosta,
uczony i chytry strasznie.
Zrozumieście, kumie?

CHŁOP I

Bo to tego nie zrozumie?

PANIENKA

Więc co złowiłam, panie profesorze —
szczupaka — raka?

ARCHEOLOG

Panienko moja, — rzecz jest taka:
ten szczupak wart buziaka
od starego archeologa.

PANIENKA

Ogarnia mnie trwoga.

ARCHEOLOG

Być może.

Należą się pani w dodatku
Wspaniałe premja —
Sto calusów winna wypłacić
Akademja —
Od każdego uczonego z osobna.

PANIENKA

Nie jestem godna,
Nawet, nawet zadatku.

ARCHEOLOG

Prehistorja się wzbogaci

(w s k a z u j e n a p o s ą g)

To rewelacja!

PANIENKA

Sensacja.

ARCHEOLOG

Racja, panienko, racja.

Scena 5.

Chłopi, baby, wyrostki
gromadzą się przed plebanją

SOŁTYS

Powiadają, że tego bałwana
zawiezie się do Warszawy.

PROBOSZCZ

Figura starożytna.
Archeologiczne odkrycie.
Wielka rzecz dla tego pana.
Będzie z tego wiele sławy.
A dla nas zaszczytna
w księgach wzmianka.
Spisała się wieś znakomicie.

JAN

A czy to do tego panka
Należy ta figura?
Do wsi należy chyba,
przecie nasza.

PROBOSZCZ

Wasza, nie wasza.
Taka gruba ryba,
jak wpadła do rąk profesora
pojedźcie zaraz do Warszawy.
Co, doktorze?

ARCHEOLOG

Inaczej być nie może.
To są naukowe sprawy,
ważniejsze niż dwór lub czworak.
Instytut Archeologiczny
przysłał wam list śliczny,
z podziękowaniem.

SOŁTYS

Pewnie, że tak się stanie.
List przyjdzie na ręce sołtysa,
Jakuba Mruka.
Trzeba będzie zaraz adres zapisać,
żeby potem w pamięci nie szukać.

JAN

U Mruka zawsze jak u mruka,
mruk mruka szuka.
Co wsiowe, to nie sołtysa,
co wsiowe, we wsi zostanie.

PROBOSZCZ

Co to za śmieszne gadanie.
Tak tylko baby gdczą.
Może sołtys wam to wytłumaczy.

JAN

Ja znam Mruka. Mruk ps'ajucha
tylko panów, żydów słucha.
Co tu gadać — tu poprostu,
jak na wodę dziurą z mostu,
ta figura
widać nie jest bylektóra,
że ją biorą do Warszawy.

PROBOSZCZ

Dość tej sprawy.
Taka rzecz nie na wasz rozum.

JAN

Jak spaskudzi chłop we zbożu,
to jest rozum lub nierozum.
Już ja wiem.

PROBOSZCZ

Nic nie wiecie.

JAN

Oj, chodziłem ja po świecie,
na japońskiej byłem wojnie,
to mój rozum to-to pojmie.
A wszystkiego łatwo dociec,
i powiadał mi też ociec.
A ociec od ojców wiedział,
choć to czasu taki przedział,
wielki jak grunt dziedzicowy.

PROBOSZCZ

Czy was djabeł dziś nagabał,
czyś sam, chłopie, może djabeł?

JAN

Dobrodzieju, dobra gadka,
gdy wam w palce wzięła gratka.
Kto jest djablem — ten co czarny,
co ma ogon, co ma rogi.
Już ja wiem, co to strój farny,
długi aż do podłogi,
żeby dobrze ogon schować,
i nie świecić nawet babie.
A bez gwiazdki czarcia głowa
gdzie jest? u mnie? to kto djabeł?
Bo to z tego tak wychodzi,
że djabeł to ksiądz dobrodziej.

PROBOSZCZ

Bluźnisz Janie, stary Janie,
stary a głupi jak młodzik

ARCHEOLOG

Sluchajcie moi włościanie,
wiem o jaki drobiazg chodzi,
ale my to załatwimy.
Instytut Archeologiczny
przyśle wam list śliczny,
podziękowanie,
i dla gromady mały podarunek.
Coś się tam znajdzie,
na pokrzepienie miny,
na poczęstunek.

PROBOSZCZ

Doktorze, profesorze, ostrożnie.

SOŁTYS

No przecie to będzie zbożnie.
Tak, Janie, co tam gadanie.
Niech sobie pan wezmą ten kamień,
a nam zostawią złotówki.

JAN

Chorzy jesteście na głowę.
My go sprzedamy za grosze,
a zaczną zdychać jałówki,
chorować świnie i parszywiec kury.

PROBOSZCZ

A cóż to za awantury?
Proszę ja, proszę.
Co ma posąg do świni lub kury.
Myślałem, żeście zmyślniejsi.

ARCHEOLOG

Jakieś przesady kołaczą się w tej wsi.

SOŁTYS

Janie, toć jutro żniwa.
Trzeba się wyspać, poco tu wydziwiać.
Poco wam jaje, kiedy kura w garnku.
Przecie nasza wieś nie głupia,
niech pan profesor to kupią,
niby krowę na jarmarku.
Dadzą złotówek sto. Trochę ochoty,
w Warszawie nikt się nie zuboży,
a my będziemy mieli co odłożyć
za darmo, bez roboty.

JAN

Dacie sto złotych?

ARCHEOLOG

Dam, dla świętego spokoju.

SOŁTYS

Tośmy dobili targu

JAN

Panom z miasta
zawsze się widzi,
że głupi chłop od gnoju,
i basta!
Albo my to żydzi,
żeby się targować,
takiej rzeczy nie można marnować,
nie sprzedamy!

PROBOSZCZ

Wiesz, gębo pyskata,
jako będzie zapłata.
Nie zechcesz wielkiej gotówki,
jak za dobrego konia,
a to i tak pojedzie do miasta,
a ty nie dostaniesz ani złotówki,
ani złamanego gronia.

JAN

Myślicie, że w to uwierzę,
że my tu durne, jak skopy!
Nie oddacie, to siłą zabierzem,
co, chłopcy?

LUD

Nie damy!

Scena 6.

STUDENT (stojący na uboczu)

Cyt — jedzie samochód,
będzie zgoda,
będzie cud.

(Niespodziewanie wchodzi
DEUS EX MACHINA — pan w stroju
automobilowym)

DEUS

W tej sprawie głos zabiorę,
przypadkowo, będąc w przejeździe.

PROBOSZCZ

Prosimy łaskawego pana.
Wielki zamęt w małym gnieździe.
Mała rzecz a duże spory.

DEUS

Załatwię sprawę najkrócej.

(Postawa i głos spokojnego,
łagodnego i pełnego powagi
rozkazodawcy, któremu ze-
brani poddają się z biernością,
jakby zdziwioną)

Kto pragnie, by posąg został
we wsi,
popierać bydło i zabiegi żniwne,
strzec gospodarstwa,
niech stanie po jednej stronie.
Kto jest innego zdania,
niech się ustawi przeciwnie.

(Jakby odniechcenia tworzą
się dwie grupy. Z jednej strony
zwartą ławą ustawiają się
chłopi, z wyjątkiem SOŁTYSA,
który łącznie z PROBOSZCZEM
i ARCHEOLOGIEM tworzy osobną
grupę. NAUCZYCIEL i PANIENKA,
jakby podlegali wahaniom,
zajmując niezdecydowane
stanowiska pośrodku)

DEUS

Oto jest wasza prawica,
wybrańców garstka,
przedstawiciele kronik.
A na lewicy
w tym przygodnym parlamencie,
stanęli pospolici kłmiecie.
Pani — sprawczyni zjawiska —
jednej i drugiej stronie równie bliska,
narazie, narazie.

Pan nauczyciel w podwójnej ekstazie.

Taka jest linja falista
pojęć i zdarzeń,
jak żyta łan przed żniwami:
kłos o kłos zahacza,
kłos bije w kłos.
Lecz jutro czas przcinaczeń:
źdźbła w jeden snop zwiąże los!
Los —
ojciec —
prolog —
jest między wami

(patrzy na posąg)

Odmienny sposób wielbienia
nie zmienia
wspólnej adoracji.
Jan, Nauczyciel,
Proboszcz i Archeolog,
wszyscy,
w jednakiej drzemią racji.
Drzemią.

(nagle)

Więc idźcie naprawdę spać!
(zdziwienie)
(zaskoczenie)

WSZYSCY

Spać!?

DEUS

Tak.
Sen twardy poprzedza żniwa.

PROBOSZCZ

Jutro żniwa.

WSZYSCY

Jutro żniwa.

DEUS

Jutro, o słońca zachodzie,
zwołać gromadę —
starców i młodzież.
Odbędzie się rzecz sprawiedliwa.
Jutro przyjadę —
jak dzisiaj w białym samochodzie.

(wychodzi)

(Wszyscy — jakby w zneru-
chomieniu — odprowadzają go
wzrokiem)

(turkot automobilu)

(głos trąbki)

RECENZJE

STANISŁAW PIĘTAK. LEGENDY DNIA I NOCY. Biblioteka „Okolicy Poetów”. Skład gł.: T-wo Wydawnicze w Warszawie. 1935. Str. 24.

Objętościowo skromnolutki tomik dzieli się na dwie części: cykl wierszy lirycznych i próbę epiki w poemacie „Zwycięstwo”. Lirykiem jest Piętak z serca, możnaby powiedzieć, z dzieciennego niemal serca, skłonnego do wzruszeń, roztkliwiał się, płakania z samym sobą nad sobą. Czar egotyizmu działa na poetę tak silnie, że zdaje mu się nieraz, jakoby poza lirycznym światem jego wzruszeń pozostawały tylko mniej wartościowe regiony. Liryki Piętaka nie należą do wierszy w pospolitem znaczeniu tego słowa. Niema w nich bębniącego stukotu, jest natomiast poezja oparta na pierwszorzędnej jakości surowca treściowego. Może się wydać dziwne, że ten tak bardzo na liryzm chorujący poeta uprawia także epikę. Pozornie sądzi się, że epik to człowiek zimny, zrównoważony, obojętny, niedostępny dla jakiegokolwiek tkliwości. Ale takie pojęcie jest błędne. Działa tu prawo przeciwieństw, to wspaniałe prawo, z którym ludzkość dzisiejsza chce walczyć, zamiast dążyć do poznania go i rządzenia się według jego naturalnych norm. Krańcowy liryzm wyzwała w dobrym poecie doskonałą epikę, i to też jest zjawiskiem naturalnym. Piętak posiada wiele danych, jeżeli nie wszystkie, by stać się epikiem wysokiej klasy. Oczywiście, jeszcze nim nie jest, to trudna droga, ale niektóre partie „Zwycięstwa” świadczą o bardzo dużych możliwościach. Posiada tęsknotę do bohaterstwa, wysokie struny liryzmu, potężny zasób pierwotności, wystarczającą kulturę, i wysoki stopień naiwności. W tym splocie przeciwieństw brakuje, zdaje się, jednego ogniwa, które równoważyłoby zaznaczony moment naiwności: ogniwa dojrzałości bojowej, chociaż przeblyski jej można zauważyć w niektórych częściach „Zwycięstwa”. Tego przede wszystkim życzyć należy poecie na przyszłość. Jeżeli mówię o t. zw. naiwności, to należy rozumieć to, jako świeżość pierwotną, moment w epice o znaczeniu kardynalnym. Jest to tak zwana epicka naiwność, bez której nie byłoby ani Homera, ani „Ramayany”, ani „Pana Tadeusza”. Wreszcie muszą podważyć twierdzenie niektórych recenzentów, jakoby Piętak był naśladowcą Czuchnowskiego. To są twierdzenia nieprzemysłane, słowa rzucone na wiatr. Między Czuchnowskim a Piętakiem, prócz zbliżonego podłoża treściowego, niema momentów wspólnych. W epice Czuchnowskiego jest przerost tego, czego Piętak nie posiada — bojowej dojrzałości. Czuchnowski jest pozatem konstruktorem o zmyśle inżyniera poetyckiego, Piętak działa raczej intuicyjnie, nie jest jeszcze świadomym budowniczym swej epiki, ale to, co zestawia, nie posiada żadnych cech naśladownictwa. W „Legendach dnia i nocy” niema rzeczy skończonych pod względem artystycznym, nawet ich być nie mogło, zważywszy siłę tego żywiołu pierwotnego, którym rozporządza autor. Ten nieugłaskany żywioł może być okiełznany przez talent po całkowitem opanowaniu wszystkich środków artystycznych, po długotrwałem doskonaleniu się pod każdym względem. Piętak wykazał talent pozwalający rokować, że dany mu żywioł poetycki będzie poecie wkońcu całkowicie uległy.

WOJCIECH BĄK. ŚPIEWNA SAMOTNOŚĆ. Warszawa 1936 r. Wydawnictwo J. Mortkowicza. T-wo Wydawnicze w Warszawie. Str. 93 i 5 nl.

W „Brzemieniu niebieskiem” żywiołowość Bąka ukryta była jakby pod warstwą szminki. W obecnie wydanym tomie pewny swej siły jego żywioł poetycki, wyzwolony, kłębi się, szumi, szaleje. Potęga jego nieraz autora ponosi, ale to poezji nie szkodzi. Ruchliwy i buntowniczy żywioł, którym poeta został opętany, odgradza go do pewnego stopnia od świata, od ludzi, powoduje jego „śpiewną samotność”. Jest to prawo i dramat poetów podobnego typu, zresztą rzadko spotykanego w galerii naszych pisarzy. Jakaś średniowieczna bujność, wybitny egocentryzm, chrześcijańskość templariuszów lub krzyżowców, wycinających pogan w imię krzyża. Raz deklaracja: „bo chrześcijańskie serce w mojem ciele, i chrześcijańskim rytmem drżą me słowa”, to znowu wyrazista tęsknota do „bez-bożności” pogańskiej. Bujna, nieujarzmiona religijność z okresu Piotra z Amlens. Św. Franciszek z Assyżu przyszedł dopiero jako antyteza. Tradycje naszej poezji religijnej były raczej franciszkańskie. Bąk wnosi ton nowy, zakonno - rycerski, krzyżowy, bojowy, może w istocie rzeczy pół-chrześcijański, pół-pogański, ale w każdym razie ton gorącej „wiary doskonałej” w znaczeniu pierwotniejszym. Trzeba ten ton ze względu na jego żywiołowość i wyjątkowość uznać całkowicie. Przypuszczam, że gdyby każde zdanie tych wierszy porównać z dogmatyką, odkrylibyśmy zapewne mnóstwo herezji. Należy jednak pamiętać, że wiersz nie jest rymowanym katechizmem, lecz wyrazem tych wszystkich wątpliwości, które nurtują w duszy poety, wyrazem jego walk, jest spowiedzią, modlitwą, hymnem, buntowaniem się i upokaraniem, szukaniem i odnajdywaniem. Dawniejsi poeci przyzwyczaili nas do sentymentalnego święto-franciszkaństwa, którem kończyły się nawet bunty. Nieraz w tem była powierzchnowość a czasem może i obłuda. Dobrze więc, że przyszedł poeta, który z tak silnym napęciem dramatycznym przedstawia burze duszy religijnej. Talent niewątpliwie wybitny. Prawdą jest, że w zakresie formalnym podlega jeszcze wpływowi skamandryzmu, ale Bąk nie jest wcale kandydatem na epigona. Jego żywiołowość jest tak wielka, że nie da się zamknąć w foremkach tej czy innej manieri. W najlepszych wierszach, tam gdzie materiał treściowy jest jaknajbardziej własny, nie jest Bąk żadnym skamandrytą lecz sobą. Natomiast jest „skamanderwiszem” w wierszach drugiej kategorii, czasem nawet mirośladoplewcą. Szczęściem nie wprowadził poeta do nowego tomu wszystkich wierszy, które czytaliśmy w czasopiśmie, nprz. typowej miroślady o muezzinie, drukowanej w „Pionie”. Niemniej jednak sporo wierszy tej właśnie drugiej kategorii wszedło do zbioru. Z tych właśnie wierszy sądzić można, że niebezpieczeństwo skamandryckie jeszcze wisł nad Bąkiem.

ŚWIATOPĘŁK KARPIŃSKI. MIESZCZAŃSKI POEMAT. Warszawa 1935. Wydawnictwo J. Przeworskiego, Str. 44 i 4 nl.

Pierwszy tom Karpińskiego „Ludzie wśród ludzi” zapowiadał dobrego poetę, który niewiadomo ku któremu zwrócił się brzegowi. „Mieszkański poemat” oznacza spoczynek poety nad wodami Skamandra. Spoczynek całkowity. Przyznać trzeba, że Karpiński jest świetnym, wymarzonym epigonem. Patrząc z tego punktu widzenia, możnaby tylko zarzucić, że w niektórych

wierszach maniera skamandrycka działa za silnie, za widocznie: „Kwiat pa-proci“, „Srebrne wesele“. Gdzieindziej wizja mistrzów miesza się z własną wzięją poety, nie daje to jednak dobrego efektu. W ten sposób groteskowo wyszła „Gioconda“, formalnie a w niektórych miejscach także treściowo przypominająca „Mochnackiego“ Lechonia. Wieniec „Jesiennych sielanek“ wydaje mi się tworem sztucznym, jak wogóle tego rodzaju wieńcowe igraszki, będące jakby poplsem egzaminacyjnym na fortepianie rymów. To są „mironiady“, jak zresztą większość wierszy „Mieszkańskiego poematu“. Nie zaprzeczam ważności „Skamandra“ w swoim czasie i w swoich ludziach. Gdybym wierzył w potrzebę rozprowadzania skamandryzmu na dalsze czasy i na innych ludzi, Karpińskiemu przypisywałbym poważną pozycję. Czystość tonu i język świetny, prócz jednego wyjątku („nagle się spojrzala“).

ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI. TRZYNASCIE WIERSZY. Warszawa 1936. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Str. 39 i 1 ni.

Tom podobny do „Mieszkańskiego poematu“, może tylko więcej przygodności w złączeniu wierszy. Oglądamy z ciekawością kilka sonetów, — jak też wygląda ta umierająca może forma! Stwierdzić można, że tylko tam, gdzie język poetycki został silnie zmetaforyzowany, sonet staje się możliwy, ale to chyba zaleta nie formy sonetowej, lecz metaforyzacji. Zdaje się, że „Miejskie pory roku“ wysuwają się na czoło tomu. Bezpośrednia szablonowość skamandrycka jeszcze w wielu miejscach widoczna, całkowicie nprz w „Żebrakach“. Świetny werbalizm, bijący w oczy talent, błyskotliwość i jak dotychczas wtórność poetycka. Wprawdzie w „Inwokacji“ zapowiada Karpiński „nową mowę“, ale w „Trzynastu wierszach“ jeszcze jej niema.

STANISŁAW CZERNIK.

O ORGANIZACJĘ SPRZEDAŻY WYDAWNICTW POETYCKICH

Tragiczna dysproporcja między rozrostem poezji, i to świetnej poezji w Polsce, a jej realnym oddziaływaniem na życie kulturalne, jej rolą społeczną w sensie dotarcia i wychowania czytelnika, nie prędko zniknie. Składa się na to szereg przyczyn o charakterze, określanym w ekonomii jako strukturalnym, jest ona wyrazem zarówno powszechnej we współczesnym ustroju sprzeczności pomiędzy produkcją a konsumpcją, jak i ogólnej sumy dochodu społecznego, jest wreszcie ona wynikiem specyficznej postawy artystycznej większości poetów, oddalenia (nie wchodzę teraz w to czy koniecznego lub usprawiedliwionego) od sfery praxis życiowej, unikania t. zw. „tematów wielkich“, to jest zdolnych do zainteresowania szerszych mas poza-poetycką treścią utworu. Nie chodzi zresztą w tej chwili o choćby pobieżne nawet zanalizowanie przyczyn, które sprawiły, że poezja w Polsce stała się samotną i opuszczoną wyspą, niemal że zaledwie tolerowaną, której parę setek osób poświęca najlepszą część życia; chodzi o minimalny program naprawy.

Fakty, że kiedy ukazuje się u nas przeciętnie około stu tomów poetyckich rocznie, przeciętny nakład wydawnictw nawet najbardziej uznanych poetów nie przekracza naogół dwustu egzemplarzy, że nawet licząc optymistycznie, najwyżej 10% wydawnictw poetyckich wychodzi nie na koszt autorów, a sprzedanych zostaje po kilkadziesiąt egzemplarzy, świadczą o tem, że za obecny stan rzeczy odpowiedzialność ponosi w znacznej mierze również organizacja, a właściwie zupełny brak organizacji sprzedaży wydawnictw poetyckich, rynku i kolportażu.

Teraz parę przykładów. Można długą i wytrwałą pielgrzymkę odbyć po wszystkich księgarniach warszawskich, a w żadnej z nich nie znajdzie się najlepszego tomu ostatnich lat, „W głąb las” Przybosa, łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż zdobyć w Warszawie tomy Jastruna, Brzękowskiego, Czuchnowskiego czy Łobodowskiego.

Wydatne uzdrowienie obecnych stosunków i prawdziwe zaradzenie złu nastąpić mogłoby jedynie przez zorganizowanie Związku Zawodowego Poetów i poprowadzenie przez niego szerokiej spółdzielni wydawniczej. Na realizację, jakżeż konieczną, obu tych projektów czekać jest stanowczo za długo. Wydaje mi się, że choćby w minimalnym stopniu organizacją kolportażu poetyckiego należy zająć się natychmiast. A wcale w tem mogłaby pomóc „Okolica Poetów”.

Całą sprawę wyobrażam sobie mniej więcej w ten sposób: autor przysłałby do „Okolicy Poetów” po 20—30 egzemplarzy (w obecnych warunkach to napewno wystarczy) wydawnictwa, „Okolica” zamieszczałaby spis tomów, trzymany na składzie i zajęłaby się wysyłką ewentualnym nabywcom. Na koszty dodatkowej buchalterji i pracy „Okolica” pobierałaby normalny księgarski procent.

Zagadnienie zostałoby rozwiązane w minimalnych rozmiarach, ale skutecznie, byłoby przynajmniej wiadomo, że jest takie miejsce w Polsce, taka prawdziwa okolica poetów, skąd bez trudu, choć za pieniądze, sprowadzić sobie można żądany tom poezji.

Sądzę, że projekt ten powinien wywołać dyskusję, tembardziej, że zrodził się z wielu prywatnych rozmów i dyskusyj bezpośrednio zainteresowanych.

JAN KOTT.

NOTY

ARTYKUŁ JANA KOTTA dotyka jednej z bolączek naszego życia kulturalnego. Umieszczone tam propozycje warte są przemyślenia, przyskutowania i częściowego zrealizowania. Przedewszystkiem co do nas. Projekt zorganizowanej sprzedaży wydawnictw poetyckich jest dobry, ale „Okolica Poetów” nie mogłaby narazie podjąć się tej roli, chociażby z tego względu, że jednoosobowa redakcja nie rozporządza czasem: cały czas wolny od pracy zawodowej pochłania nam redagowanie, obfita korespondencja, a obecnie i administracja pisma. Ale sam projekt jest na miejscu, i należałoby

go w jakiś sposób wprowadzić w życie. Propozycja założenia związku poetów, albo może lepiej miłośników poezji jest na czasie. Istotnie, nasza nędza kulturalna w wielkiej mierze wynika z braku organizacji. Jeżeli chodzi o sprawy poezji, to rzecz przedstawia się więcej niż wstydliwie, poprostu ubliżająco. Znaczna część winy spada tu na tych, którzy zmonopolizowali poezję, zamknęli w maleńkich kapliczkach i opanowali rynek. Naszem zdaniem, organizacja sprzedaży wydawnictw poetyckich jest jednak rzeczą podrzędniejszą. Najważniejsze jest ostateczne zerwanie z systemem kapliczkowym i utworzenie jednolitego frontu poetów. Nie jest to sprawa łatwa, gdyż kierownicy monopolu i kondotjerzy zawsze są gotowi za marne wynagrodzenie nieuczciwymi środkami zwalczać każdą organizację niezależną. „Okolica Poetów”, stawiająca w swoim programie zasadę antykapliczkowości naraziła się monopolowi, który w niekulturalny sposób stara się ją zniszczyć. Jest więc perspektywa walki o niezależność już nie tylko poetów, ale pisarzy wogóle, od handlarzy i pośredników. Ustrój kapliczkowy, jak u nas, doprowadził do skandalicznej sytuacji, działa demoralizująco na konsumentów, deprawuje krytyków, co zwłaszcza w dziedzinie poezji zmieniło się w wielu wypadkach na zwyczajne pasorzytnictwo. Co gorsza, panowie ci nie zdają sobie nieraz sprawy ze swej niechlubnej roli i zdaje im się, że wszystko jest w porządku.

Nawiązując więc do artykułu Kotta, redakcja „Okolicy Poetów” gotowa jest do popierania akcji, któraby miała na celu należyte zorganizowanie spraw poetyckich w Polsce. My już od początku oddaliśmy pismo nasze do dyspozycji poetów, jest ono ich dobrem. Niechże poeci całego kraju zgrupują się przy „Okolicy”, niech popierają ją najusilniej pod każdym względem, a „Okolica” niewątpliwie zamieni się w prawdziwą „spółdzielnię” poetów. W tej chwili odwołujemy się także do pomocy materialnej. Dla utrwalenia bytu „Okolicy” potrzeba nam jeszcze stu prenumeratorów. Niechże i nasi współpracownicy nie zapominają o tem, chociażby dla własnego dobra. Nasze zdecydowane stanowisko w dużym stopniu przyczyniło się do tego, że życie poety w roku 1935 stało się znośniejsze. Jeszcze przed rokiem nieustosunkowany poeta musiał szukać protekcji wpływowego kapliczkowicza, by mu gdziekolwiek przyjęto wiersz. Bramy kapliczek uchylły się, bo inaczej nie mogły, ale trzeba pamiętać, że one się zamkną natychmiast, gdy „Okolicy” zabraknie. Apelujemy więc do poetów o dobre wiersze, o prenumeraty i jednanie abonentów. Dołóżmy starań, by jedyne poetyckie pismo w Polsce, naprawdę od nikogo niezależne, mogło nie tylko utrzymać się, ale także rozszerzyć się i skutecznie bronić naszej poezji.